

RECENZJA

# RIPLEY WRACA DO STUDIA. NIESTETY



WITOLD  
MROZEK

GAZETA WYBORCZA

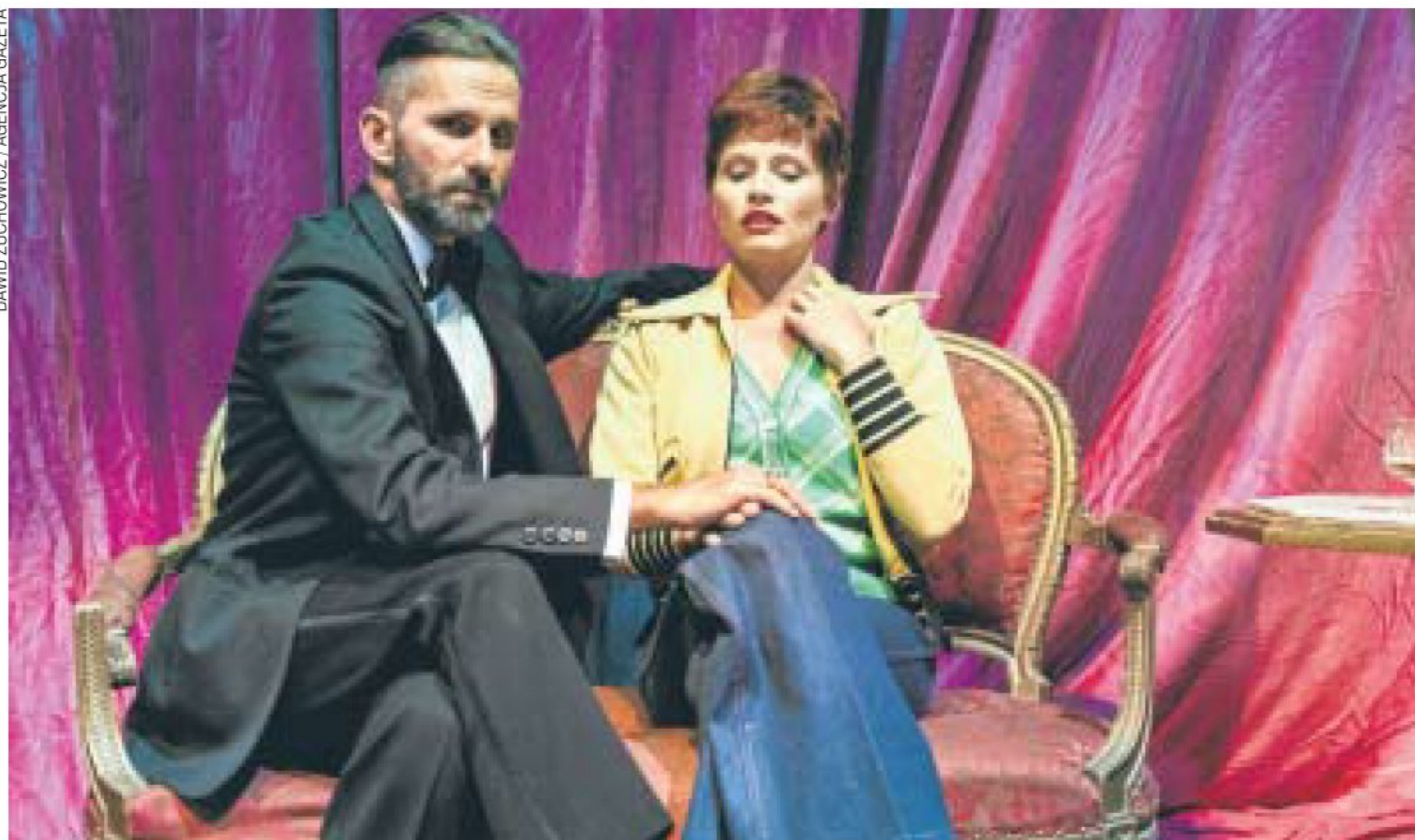
**J**eśli spektakl raz się nie udał, najlepiej zrobić sequel. Taka osobliwa logika zdaje się przyswiecać Teatrowi Studio.

Pamiętacie „Utalentowanego Pana Ripleya” Radosława Rychcika z kameralnej sceny Studia? W ubiegły piątek jego bohater trafił na dużą scenę. „Ripley pod ziemią” to teatralny powrót bohatera kryminałów Patricii Higsmit, znanego też z ekranizacji z Mattem Damonem - naciągacza, mordercy i złodzieja tożsamości.

Tym razem Ripley uczestniczy w przestępczej siatce trudniącej się produkcją i sprzedażą sfalszowanych obrazów niejakiego Dervatta. To mistrz, który dawno temu umarł lub zaginął, ale którego funkcjonowanie na rynku sztuki podtrzymują wprawni fałszerze produkując wciąż nowe obrazy. A że na trop oszustwa trafia bogaty kolekcjoner i nieustępliwy amator-znawca malarstwa (Miroslaw Zbrojewicz), Ripley wrócić musi na drogę zbrodni.

Reżyseruje znów Rychcik, w roli Ripleya - ponownie Marcin Bosak. Spektakl rozpoczyna się jego 45-minutowym monologiem, w zasadzie monodramem, przedstawieniem w przedstawieniu. Zanim

DAVID ZUCHOWICZ / AGENCJA GAZETA



Marcin Bosak i Natalia Rybicka podczas próby przedstawienia „Ripley pod ziemią”

rozpocznie się właściwa akcja, Bosak jako odbierający Oscara Marlon Brando opowiada o aktorstwie. Jeśli grane na bliskim kontakcie z widzami przemówienie wyda wam się pretensjonalne - strzeżcie się, bo to najlepszy fragment spektaklu. Przez kolejne 3 godziny jeszcze nieraz za nim zatęsknicie.

Pomysł na adaptację powieści, w której podstawowym motorem akcji będą rozlegające się co chwilę z ofisu długie fragmenty narracji - rozmowy telefoniczne czy listy - jest na dłuższą metę nieznośny. Pomysł z cele-

browaniem prostych gestów - wszystkich przejść, wejść, odbierania telefonu i krzątania się po domu (świetna scenografia Anny Marii Karczmarzkiej) - byłby może i dobry, gdyby oprzeć na nim jedną albo dwie sceny i precyzyjnie wyreżyserować. A nie katować nim widza przez czas mniej więcej dwóch seansów kinowych. Gdyby spektakl miał dramaturga albo gdyby ktokolwiek inny zrobił tu sensowne skróty - np. reżyser - mógłby trwać 2 godziny.

Rychcik robi wiele, by „komiksowe” środki, które kojarzą się

z atrakcyjnym i popularnym stylem teatralnego opowiadania, zaaplikować w sposób rozwlekły i nużący. By kryminalna intryga ciekła jak niedokręcony kran, a suspens zastąpiony został skłaniającym do drzemki snujstwem.

Przede wszystkim - dramatycznie brak tu rytmu, co może dziwić w spektaklu, którego sceny są byle jak pozlepiane piosenkami; sceniczne niedzianie przeplata się tu dźwiękiem. Gdy akcja przenosi się do Londynu, to poza „London Calling” The Clash usłyszymy ko-

łaż radiowych newsów z różnych momentów historii Wysp (śmierć księżnej Diany, Brexit...). Jest też kuriozalna sekwencja ruchowa, w której aktorzy - oświetleni kontrami, nie widzimy twarzy - maszerują po scenie w tę i z powrotem, przypominając początki polskiego musicalu lat 90. Ma to na celu, jak się zdaje, oddanie atmosfery wielkiego miasta.

Nie pomagają „Ripleyowi” rozwiązania aktorskie - zwłaszcza przerysowanie, od którego specjalistą jest Tomasz Nosiński (tu w roli ekscentrycznego malarza, filaru fałszerskiej siatki). Również Maria Dębska (znana z „Moich córek krów” czy „Demona”) zasługiwała w Studiu na lepszy debiut niż niedomyślana rolka żony gangstera - dziedziczki z wyższych sfer, udającej w groteskowy sposób francuski akcent - pretensjonalna postać grana pretensjonalnie. Na zabawę kliszami za mało w tym wszystkim poczucia humoru, świadomego dystansu. Zabawny epizod z infantylnym kuzynem przyjaciela z Ameryki (gościnnie: Piotr Żurawski) - to zbyt mało na tak długie przedstawienie.

Kierowane od niedawna przez Natalię Korczakowską Studio jest miejscem interesujących słuchowisk, koncertów, gościnnych wydarzeń w plenerze. W kategorii „spektakl” jednak nowa dyrekcja artystyczna rozpoczyna się spektakularnym falstartem. ●